

Wieluń, czwarta czterdzieści



Wieluń – śródmieście po nalotach / fot. historia.wielunia.webpark.pl

Symbolem wybuchu II wojny światowej jest Westerplatte, ostrzelane przez „Schleswig-Holstein” 1 września o 4.45 rano. Ale naprawdę wojna zaczęła się pięć minut wcześniej: w Wieluniu. To fakt mało znany. Podobnie jak to, że Wieluń był pierwszym miastem niemal doszczętnie zniszczonym podczas tamtej wojny.

Wieczorem 31 sierpnia 1939 roku w Warszawie obowiązywało już zaciemnienie. Mieszkańcy przestrzegali go starannie. Uszczelniano także pomieszczenia, przewidziane jako schrony na wypadek ataku gazowego – bo najbardziej obawiano się użycia przez Wehrmacht gazów bojowych. „Tego wieczoru – pisał we wspomnieniach pianista Władysław Szpilman – wszyscy byli już pewni, że wojna z Niemcami jest nieunikniona. Tylko niepoprawni optymiści hołdowali jeszcze złudnej nadziei, że w ostatniej chwili Hitler przestraszy się zdecydowanej postawy Polski”.

W tym samym czasie, kilkaset kilometrów na zachód, w tę ostatnią noc pokoju Berlin jaśniał jeszcze światłami metropolii. Ale choć w stolicy Rzeszy nie nakazano jeszcze zaciemnienia, miasto pogrążone było w depresyjnym nastroju. „Z kimkolwiek rozmawiałem, każdy był przeciwny tej wojnie. Ludzie mówili o tym między sobą otwarcie. Jak kraj może prowadzić wojnę, jeżeli jego ludność jest temu tak przeciwna?” – notował w pamiętniku William Shirer, korespondent amerykańskiego radia CBS.

Tego wieczoru brytyjski ambasador Arthur Henderson meldował w pilnej depeszy do Londynu, że „powszechnie nastroje w Berlinie cechuje skrajny pesymizm”. Nawet Gestapo sygnalizowało w swych raportach dla kancelarii Rzeszy, że w społeczeństwie „brak jest

wojennego entuzjazmu”.

Niemiecka „kontrofensywa”

Jednak w siedzibie „führera” – oddanym niedawno do użytku, nowym i pompatycznym gmachu kancelarii Hitlera – nie przyjmowano takich raportów do wiadomości. A tym bardziej nie tej nocy. Kilka godzin wcześniej tegoż 31 sierpnia Adolf Hitler wydał Wehrmachtowi rozkaz uderzenia na Polskę.

Obersturmbannführer SS Reinhard Heydrich rozpoczął już realizację przygotowanego wcześniej planu, który miał być propagandowym pretekstem do rozpoczęcia działań bojowych. Tej nocy 150 mówiących po polsku esesmanów zaatakowało niemiecką radiostację w Gliwicach – dając powód do rozpoczęcia niemieckiej „kontrofensywy”.

Wcześniej rano 1 września Warszawa pogrążona była jeszcze w ciszy. Szpilman zanotował później: „Odgłos eksplozji wyrwał mnie ze snu. Było już jasno. Spojrzałem na zegarek: dochodziła szósta. Wojna... Zaczęło się”.

W Berlinie poranek był pochmurny, niebo zakrywały ciężkie szare chmury.

O wybuchu wojny mieszkańcy dowiedzieli się dość późno. Dopiero około dziesiątej wszystkie stacje radiowe zaczęły nadawać słynne przemówienie Hitlera. I wszyscy mogli usłyszeć jedno z największych kłamstw XX wieku: „Od godziny piątej czterdzieści pięć odpowiadamy ogniem! Od tej chwili na każdą bombę odpowiedzią będzie bomba!”.

Hitler powiedział: „Piąta czterdzieści pięć”. Według czasu obowiązującego wówczas w Polsce – gdzie nie stosowano jeszcze zmiany czasu na letni – była to czwarta czterdzieści pięć. Dokładnie o tej godzinie pancernik „Schleswig-Holstein” obłożył ogniem swych dział Westerplatte. Zaczęła się II wojna światowa. Westerplatte stało się symbolem i jako symbol znalazło się w podręcznikach szkolnych – polskich i niemieckich.

Ale jest też inna prawda: atak Niemiec na Polskę zaczął się tak naprawdę wcześniej, w kilku miejscach wzdłuż granicy.

Jednym z nich był Wieluń. Miejsce pozbawione jakiegokolwiek symboliki – nie Berlin, nie Warszawa, nie Gdańsk. Prowincjonalne miasteczko.

Ale początek II wojny światowej, jaki rozegrał się w Wieluniu, był tak brutalny, że w pewnym sensie nawet symboliczny – jako zwiastun tego, czym miała być ta wojna.

Miasteczko nad granicą

31 sierpnia, punktualnie o dwudziestej, w dowództwie 4. Floty Powietrznej Luftwaffe pod

Wrocławiem doszło do spotkania, które zadecydowało o losie Wielunia.

Generał-major Werner von Richthofen – weteran niemieckiego „Legionu Condor” podczas wojny domowej w Hiszpanii – wezwał dowódców 2. i 76. eskadry bombowców nurkujących, zwanych potem w Niemczech popularnie „Stuka”, a w Polsce „sztukasami”.

Richthofen zapoznał obu oficerów z celem operacji. Był nim Wieluń. Godzinę startu samolotów wyznaczono na piątą rano (czwartą według czasu polskiego).

Wieluń. Miasteczko pozbawione było jakiegokolwiek znaczenia militarnego: nie stacjonowały w nim oddziały wojskowe, nie było żadnych umocnień ani obrony przeciwlotniczej.

Rozkaz ataku na Wieluń był działaniem nowego rodzaju, które w czasie trwania tej „wojny totalnej” miało się czymś oczywistym.

Wieluń był wtedy prawie miastem granicznym: 20 km na południowy-zachód zaczynały się Niemcy. Nadchodząca wojna zapewne była tematem rozmów dla 15 tys. mieszkańców, spośród których większość stanowili rzemieślnicy, kupcy i rolnicy. Ale starsi pamiętali, że wojna, choć brutalna, jest w pierwszym rzędzie rzeczą żołnierzy, nie cywilów.

31 sierpnia w mieście ogłoszono wprawdzie alarm przeciwlotniczy, ale zaraz potem uspokojono ludność, że to tylko próba i nie ma się czego obawiać. Bo niby dlaczego Niemcy mieliby atakować Wieluń? Miasto bez wojska, bez przemysłu (poza małą fabrykę cukru na przedmieściu)? Miasto nie będące nawet węzłem komunikacyjnym?

„Cel zniszczony”

Nocą z 31 sierpnia na 1 września na lotnisku wojskowym w Nieder-Ellguth pod Opolem warunki nie były najlepsze.

Nad ziemią utrzymywała się gęsta mgła, utrudniająca widoczność. Ale dla Waltera Sigla nie był to powód, aby odwołać operację. Kapitan Sigel, dowódca 76. Eskadry, musiał poderwać swoje maszyny. Dla *Hauptmanna* Sigla operacja ta była szansą zrehabilitowania się za wypadek, jaki wydarzył się w sierpniu na poligonie w Neuhammer. Zniszczeniu uległo wtedy aż 13 „sztukasów”, pozostających pod jego dowództwem.

Według dziennika bojowego 76. Eskadry dokładnie dwie minuty po piątej (w Polsce mijała czwarta) z lotniska w w Nieder-Ellguth wystartowało 29 „sztukasów”. Dowodził Sigel. Lot trwał 20 minut. Rozkaz brzmiał: zniszczyć zachodnią część Wielunia.

Okolo 5.35 (w Polsce była 4.35) pierwsze „sztukaszy” zajęły pozycje do ataku, aby za chwilę runąć w dół z piekielnym wyciem, które miało później paraliżować tak wielu ludzi. Pięć minut później wybuchły pierwsze bomby.

Była czwarta czterdzieści czasu polskiego.

Podczas tego pierwszego nalotu piloci Sigla zrzucili łącznie 29 półtonowych bomb i 112 mniejszych ładunków w wadze 50 kilogramów. „Cel zniszczony, zaobserwowano pożary” – zapisał Siegel w raporcie po tym, jak wszystkie maszyny wróciły bez strat do Nieder-Elguth.

1200 zabitych

W istocie te pierwsze bomby trafiły w szpital.

Będąc w latach 80. w Wieluniu, rozmawiałem z Zygmuntem Patrynem, wtedy 86-letnim lekarzem, który przeżył nalot w tym szpitalu.

Patryn wspominał: – Do łóżka położyłem się wcześniej. Następnego dnia rano obudził mnie huk samolotów. Nagle na terenie szpitala wybuchła bomba. Szyby w oknach pękły i spadły na moje łóżko. Zerwałem się, złapałem ubranie i wybiegłem jak szalony z budynku na wolną przestrzeń. W tej chwili budynek za mną zawalił się.

– Wszędzie widziałem ruiny, a spod ruin wydobywały się jęki – mówił dalej Patryn. – A samoloty wróciły potem po raz drugi, i jeszcze raz. Za trzecim razem znów zbombardowały szpital. Jedna z bomb wyrwała w ogrodzie tak wielki krater, że zmieściło by się w nim pół domu. W szpitalu zginęło 26 chorych, dwie zakonnice i cztery pielęgniarki.

Drugi nalot zaczął się pół godziny po pierwszym. Tym razem celem ataku była wschodnia część miasta.

Trzeci atak, w którym znowu uczestniczyło 29 maszyn, prowadził major Oskar Dinort, dowódca 2. Eskadry. Ostatnią bombę zrzucił osobiście „prosto na rynek” – jak chwalił się potem w prasie nazistowskiej.

Mechanik Józef Musiał miał wtedy osiem lat i niewiele rozumiał z tego, co się wokół działo. Jasne było jedno: to wojna. Musiałowie mieszkali na przedmieściu i stamtąd oglądali nalot. Józef wspominał: – To były wielkie czarne samoloty z krzyżami. Nadleciały jakoś koło czwartej rano. Potem ludzie uciekali z centrum miasta do nas, na przedmieście. Kiedy było już po nalocie poszliśmy do centrum zobaczyć, co tam się stało. Było dużo ruin i wielu zabitych. Ja byłem chyba w szoku, nie mogłem na to patrzeć. W końcu byłem dzieckiem. Nigdy nie zapomnę tego widoku: wszędzie leżały trupy i poodrywane kawałki ciał: ręce, nogi, jakaś głowa.

Bilans nalotów na Wieluń był okrutny: w sumie 380 bomb w wadze 46 ton zabiło 1200 ludzi – cywilów, w tym dzieci i chorych. Miasto zostało zniszczone w 70 procentach, a samo ścisłe centrum w 90 proc.

Na miejscu zbombardowanego szpitala znalazła się po wojnie tablica pamiątkowa o treści: „Tu dokonał się 1.9.1939 r. o godz. 4.40 pamiętny akt bezprawia, przemocy i zbrodni hitlerowskiej na bezbronnej ludności miasta Wielunia”.

Ale świadomość, że pierwsze bomby spadły tutaj, zanim „Schleswig-Holstein” ostrzelał Westerplatte, poza Wieluniem jest prawie nieobecna.

Dlaczego Wieluń?

W południe 1 września w Berlinie ministerstwo spraw zagranicznych Rzeszy przekazało polskiej ambasadzie – jeszcze nie zamkniętej – notę dyplomatyczną o dość cynicznej treści. Czytamy w nim: „Ministerstwo pozwala sobie zakomunikować, że niemieckie lotnictwo otrzymało rozkaz ograniczenia działań bojowych w Polsce do celów wojskowych”. W rzeczywistości samoloty Luftwaffe od początku wojny nie robiły różnicy celami wojskowymi i cywilnymi. W kampanii wrześniowej Wieluń był tego straszliwym początkiem, a Warszawa punktem kulminacyjnym. Do końca września tylko na stolicę Polski spadło sześć tysięcy ton bomb.

Wiele poszlak wskazuje, że dowództwo Luftwaffe świadomie wybrało bezbronny Wieluń jako cel nalotu. Być może chciano przetestować nową broń: wprowadzony niedawno do użytku bombowiec nurkujący JU-87-B z fabryki Junkersa.

Kiedy 2 września do Wielunia dotarły pierwsze oddziały niemieckiej piechoty, miasteczko było wyludnione. Większość przerażonych mieszkańców uciekła. Nikt nie pozabierał nawet zabitych; groziła epidemia. Dopiero po jakimś czasie uchodźcy zaczęli powracać do ruin.

– Od tamtych Niemców nie zaznałem niczego innego poza brutalnością – wspominał czasy okupacji 90-letni Władysław Taczanowski, przed wojną inżynier w cukrowni. – Skłamałbym, gdybym powiedział o nich coś dobrego. Każdy bał się o życie. Każdy bał się, że powie coś nie tak i trafi do Niemiec jako robotnik przymusowy.

Naziści mieli wobec Wielunia plany ambitne i długofalowe. Niemiecki burmistrz Werner Pfarschner, mianowany w 1942 roku, miał rządzić aż do roku 1954 (tak przewidziano w chwili nominacji). Celem była germanizacja: Wieluń nazywał się teraz Wielun, był centrum regionu nazwanego „Weluner Gebiet”. W mieście były wyłącznie niemieckie szkoły. SS planowało nawet zbudowanie na ruinach wzorcowego niemieckiego osiedla; gotowy był już jego model. Zniknąć miało wszystko, co polskie.

Plany te nie zostały zrealizowane. Odbudowa Wielunia zaczęła się dopiero po 1945 roku i została zakończona w połowie lat 50.

Nieukarani

Dziś w Wieluniu liczy około 23 tys. mieszkańców. Dorasta kolejne powojenne pokolenie. Prawie nikt nie pamięta już tamtej nocy. Nikt nie zna nawet nazwisk niemieckich dowódców, którzy 69 lat temu zrównali miasto z ziemią.

Kapitan Sigel kierował pierwszym nalotem, major Dinort zrzucił ostatnią bombę. Obaj dowódcy oraz ich piloci musieli wiedzieć, że atakują nie cel wojskowy, ale cywilny. Nigdzie

nie widzieli wojska, o którym nie ma też mowy w dziennikach bojowych eskadr, które czytałem. A rozkazy z 31 sierpnia były na tyle szczegółowe, że pomyłka jest wykluczona.

Żaden z pilotów nie odpowiedział nigdy za tę zbrodnię wojenną.

Sigel zginął w 1944 r. jako podpułkownik. Dinort, dowódca 2. Eskadry, dosłużył się podczas wojny Krzyża Rycerskiego – jednego z najwyższych odznaczeń. Przeżył wojnę; zmarł w 1965 r. w Kolonii.

Każdy kraj potrzebuje historycznych miejsc, które jako symbole będą upamiętniać jego zwycięstwa i klęski – bo pamięć jest przecież także częścią tożsamości. Prowincjonalne miasteczka raczej nie mają szans wejść do Historii.

Dlatego opowiedziano tę historię: o tym, co stało się w Wieluniu 69 lat temu, o czwartej czterdzieści rano.

Przełożył WP

JOACHIM TRENKNER (ur. 1935) jest berlińskim korespondentem „Tygodnika Powszechnego”. W przeszłości był szefem redakcji historycznej berlińskiej stacji telewizyjnej Sender Freies Berlin. W latach 60., podczas pobytu w USA, był redaktorem tygodnika „Newsweek”. W 1989 roku nakręcił film dokumentalny o nalocie na Wieluń, który wyemitowano w niemieckiej telewizji publicznej.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w "Tygodniku Powszechnym" w 1999 roku.